

Powieść autorki Zdążyć przed zmrokiem
i Ściany sekretów



BEZ ŚLADU

TANA FRENCH

PROLOG

W życiu liczy się tylko kilka chwil. Zazwyczaj można im się lepiej przyjrzeć jedynie z perspektywy czasu, długo po tym, jak przeleciały: chwila, gdy postanowiłeś zagadnąć dziewczynę, zwolnić przed niewidocznym zakrętem, jednak poszukać prezerwatywy... Mnie dopisało szczęście, chyba mogę tak powiedzieć. Wziąłem tę chwilę pod lupę i przekonałem się, jak rzeczywiście było. Poczułem opływającą mnie falę życia, gdy pewnej zimowej nocy czekałem w ciemnościach u wylotu Faithful Place.

Miałem dziewiętnaście lat, na tyle dużo, by zmierzyć się ze światem, i na tyle mało, by robić głupstwa. Tamtej nocy, ledwie moi dwaj bracia zaczęli chrapać, z plecakiem na grzbiecie i martensami w ręku wymknąłem się z naszej sypialni. Zatrzeszczała podłoga, w pokoju moich sióstr któraś mruknęła przez sen, ale tamtej nocy miałem czarodziejską moc, płynąłem na fali, nic nie mogło mnie powstrzymać; rodzice nawet nie przewrócili się na drugi bok, gdy przechodziłem na wyciągnięcie ręki obok ich rozkładanej kanapy w pokoju od ulicy. Czerwony żar dogasającego ognia szemrał na kominku. W plecaku znajdowały się najważniejsze rzeczy: dzinsy, T-shirty, radio z drugiej ręki, sto funciaków i świadectwo urodzenia. Niczego więcej człowiek nie potrzebował, jadąc do Anglii – w tamtych czasach. Bilety na prom były u Rosie.

Czekałem na nią na końcu ulicy, w mroku, gdzie nie sięgał krąg mętnego żółtego światła latarni. W zimnym jak szkło powietrzu niósł się aromatyczny chmielowo-palony zapach z browaru Guinnessa. Na nogach miałem trzy pary skarpetek i martensy, ręce wetknąłem głęboko w kieszenie niemieckiej wojskowej kurtki z kapturem i po raz ostatni wsłuchiwałem się w odgłosy życia swojej ulicy, płynące dalej z prądami nocy. Słowa wypowiedziane ze śmiechem przez kobietę: „A kto tu mówi, że możesz”, trzask zamykanego okna. Chrobot szczura biegnącego po ceglanych murze, kaszel mężczyzny, świst kół roweru, który przemknął za rogiem; burkliwy głos Wariata Johnny’ego Malone’a z sutereny pod czternastym, który gadał do siebie przed snem. Słyszając jakąś parkę, zduszone jęki i miarowy łomot, przypominałem sobie zapach szyi Rosie i z szerokim uśmiechem spojrzałem w niebo. Rozległy się dzwony wybijające północ – z katedry Kościoła Chrystusowego, katedry Świętego Patryka, kościoła Świętego Michana – potężne, pełne tony spływały z nieba, jakby uroczyście witały nasz potajemny Nowy Rok.

Gdy wybiły pierwszą, ogarnął mnie strach. Lekki szelest, głuchy odgłos niosący się z oddali przez ogrody na tyłach domów, i wyprostowałem się pełen gotowości, ale ona nie przeszła przez mur na końcu ulicy; pewnie ktoś wkładał się do domu przez okno, z poczuciem winy, że tak późno. Pod siódmką zaczęło płakać najmłodsze dziecko Sallie Hearne, zawodziło słabym, zrezygnowanym głosem, aż w końcu Sallie ocknęła się i zaczęła mu śpiewać: *I know where I’m going... Painted rooms are bonny**.

Gdy wybiły drugą, z tych nerwów jakbym dostał kopa w tyłek. Przerzuciło mnie przez mur na końcu ulicy do ogrodu przy domu pod szesnastym, który był przeznaczony do rozbiórki jeszcze przed moimi narodzinami, ale mimo straszliwych ostrzeżeń okupowaliśmy go całą gromadą, zostawiając tam

* „Wiem, dokąd zmierzam... Pomalowane pokoje są śliczne...” (z tradycyjnej piosenki irlandzkiej).

puszki po piwie, stosy petów i utracone dziewictwo. Wbiegłem zbutwiałymi schodami na górę, przeskakując po cztery stopnie naraz, nie przejmując się, że ktoś może usłyszeć. Byłem taki pewny, już ją widziałem, grzywa miedzianych kędzierzawych włosów i zacisnięte w pięści ręce na biodrach: „Gdzieś ty się podziewał, do cholery?”.

Połamane deski podłogi, dziury wybite w tynku, kupa śmieci, podmuchy zimnego wiatru w ciemnościach – poza tym nikogo. W pokoju frontowym na piętrze znalazłem list, właściwie kartkę z zeszytu. Fruwała po gołej podłodze, w prostokacie bladego światła, które wpadało przez okno, i wyglądała tak, jakby leżała tam od stu lat. Wtedy wyczułem, że zaszła zmiana: opływająca mnie fala życia załamała się i nabrała zabójczej siły, zbyt dużej, by z nią walczyć, i już mi niesprzyjającej.

Nie zabrałem listu. Gdy wychodziłem spod szesnastego, znałem treść na pamięć i została mi reszta życia, żeby uwierzyć w to, co tam było napisane. Położyłem go z powrotem na podłodze i wróciłem na koniec ulicy. Czekałem w mroku, przyglądając się obłokom pary ulatującej mi z ust w świetle latarni, a tymczasem dzwony biły na trzecią, potem czwartą i piątą. Noc rzedła, nabierała smętnej szarości, za rogiem stukał po bruku wózek mleczarza w drodze do mleczarni, a ja wciąż czekałem na Rosie Daly u wylotu Faithful Place.

1

Ojciec powiedział mi kiedyś, że każdy mężczyzna musi wiedzieć przede wszystkim, za co by umarł. „Jeżeli tego nie wiesz – mówił – coś ty wart? Nic. Żaden z ciebie mężczyzna”. Miałem trzynaście lat, a on wypił już trzy czwarte butelki Gordon's Finest, ale co tam, gadał jak z nut. Pamiętam, że umarłby: a) za Irlandię, b) za swoją matkę, która nie żyła od dziesięciu lat, i c) byle dopaść tę sukę Maggie Thatcher.

Jednak od tego dnia mogłem powiedzieć w każdej chwili i bez namysłu, za co konkretnie oddałbym życie. Początkowo odpowiedź była prosta: za rodzinę, za swoją dziewczynę, za kraj. Potem na jakiś czas sprawy się pokomplikowały. Teraz sytuacja jest stabilna, i to mi odpowiada; mam wrażenie, że z tego mężczyzna może być dumny. Oddałbym życie za swoje miasto, pracę i dziecko, niekoniecznie w tej kolejności.

Mam na razie grzeczne dziecko, mieszkam w Dublinie i pracuję jako tajny detektyw w policji, więc to chyba oczywiste, za co najprawdopodobniej w końcu umrę, choć od jakiegoś czasu grozi mi na służbie jedynie fura gównianej roboty papierkowej. Wielkość tego kraju sprawia, że okres przydatności agenta działającego w terenie jest krótki; po dwóch operacjach, może czterech, ryzyko, że zostanie rozpoznany, staje się zbyt duże. Już dawno temu wykorzystałem swoje dziewięć żywotów. Teraz pozostają za kulisami i prowadzę własne operacje.

Prawdziwe ryzyko w pracy tajnego detektywa, w terenie czy za biurkiem, polega jednak na czym innym: ciągle stwarzasz iluzję, aż w końcu zaczyna ci się wydawać, że panujesz nad sytuacją. Łatwo dochodzisz do przekonania, że to ty jesteś hipnotyzerem, mistrzem ułudy, cwaniakiem, który rozpoznaje rzeczywistość i wie, jak się robi te wszystkie sztuczki. Ale tak naprawdę wciąż jesteś tylko celem, jednym z widzów gapiących się z rozdziawioną gębą. Nieważne, jak dobrze sobie radzisz, w tej grze świat zawsze będzie lepszy. Jest sprytniejszy od ciebie, szybszy i o wiele bardziej bezwzględny. Co najwyżej możesz starać się dotrzymać mu kroku, poznać swoje słabe punkty i nieustannie spodziewać się ciosu zniecka.

Po raz drugi życie szykowało się do zadania mi ciosu zniecka pewnego piątkowego popołudnia na początku grudnia. Spędziwszy dzień na podtrzymywaniu kilku swoich ówczesnych iluzji – jeden z moich chłopaków (koleś nie miał co czekać na prezent gwiazdkowy od wujka Franka) na własne życzenie wmanewrował się w sytuację, gdy z wielu złożonych powodów musiał znaleźć jakąś starszą panią, którą będzie mógł przedstawić kilku pomniejszonym dealerom narkotyków jako własną babcię – udawałem się do swojej byłej żony, żeby zabrać nasze dziecko na weekend. Olivia i Holly mieszkają w tak gustownym bliźniaku, że szczeka człowiekowi opada, na wypiełgnowanej uliczce w Dalkey. Dostaliśmy go w prezencie ślubnym od ojca Olivii. Gdy się wprowadzaliśmy, dom miał nazwę zamiast numeru. Wyeliminowałem ją szybko, ale powinienem był od razu się zorientować, że to małżeństwo nie wypali. Gdyby moi rodzice wiedzieli, że się żenię, matka zadłużyłaby się po uszy w spółdzielczej kasie pożyczkowej, kupiła nam śliczny kwiecisty komplet wypoczynkowy do salonu i nie posiadałaby się z oburzenia, widząc, że zdjęliśmy plastik z poduszek.

Olivia stała nieporuszenie w drzwiach, na wypadek gdybym wpadł na pomysł, by wejść do środka.

– Holly zaraz będzie gotowa – oznajmiła.

Muszę przyznać z ręką na sercu oraz w równiej mierze z samozadowoleniem i żalem, że Olivia jest wystrzałowa: wysoka,

o pociągłej, kształtnej twarzy okolonej masą miękkich popielatoblonde włosów, o sylwetce z dyskretnymi krągłościami, których w pierwszej chwili się nie zauważa, a potem nie można nie zauważyć. Teraz jej figurę modelowała wytworna czarna sukienka, do której włożyła cienkie rajstopy i brylantowy naszyjnik swojej babki, wyjmowany tylko na wielkie okazje. Na widok takiej kobiety sam papież zerwałby z głowy piuskę, żeby otrzeć czoło. Ja zaś, gość nie tej klasy co papież, gwizdnąłem z uznaniem.

- Ważna randka?
- Idziemy na kolację.
- Czy „my” znów oznacza towarzystwo Dermo?

Olivia jest zbyt rozgarnięta, żeby pozwalać mi na takie zagrywki.

- On ma na imię Dermot. Poza tym istotnie jego miałam na myśli.

- To już chyba czwarty weekend z rzędu, prawda? - powiedziałem z udawanym podziwem. - Zdradź mi: dziś nastąpi to doniosłe wydarzenie?

Olivia zawołała w kierunku schodów:

- Holly! Tato przyjechał!

Gdy stała odwrócona do mnie plecami, wsunąłem się do holu. Skropiła się Chanel N° 5, których używała od początku naszej znajomości.

- Tato! Już idę już idę już idę, muszę tylko... - doleciało z góry, a potem zaaferowane trajkotanie, gdy Holly wyjaśniała jakieś zawiłości swego myślenia, obojętna na to, czy ktoś ją słyszy.

- Bez pośpiechu, kochanie! - odkrzyknąłem, kierując się do kuchni.

Olivia poszła za mną.

- Dermot będzie tu łađa chwila - rzuciła. Nie wiedziałem, czy to ma być groźba, czy prośba.

Otworzyłem lodówkę i zajrzałem do środka.

- Nie podoba mi się gęba tego gościa. On nie ma mocnego podbródka. Tacy mężczyźni nie budzą mojego zaufania.

- Na szczęście twoje upodobania względem mężczyzn nie są

w tym wypadku istotne.

– Wprost przeciwnie. Jeśli traktujesz to poważnie, on będzie dużo przebywał z Holly. Przypomnij mi: jak ma na nazwisko?

Pewnego razu, gdy nasz związek już się rozpadał, Olivia przytrzasnęła mi głowę drzwiami lodówki. Widziałem, że ma ochotę znowu to zrobić. Stałem pochylony, dając jej po temu sposobność, ale zachowała spokój.

– Po co ci ta informacja?

– Muszę go sprawdzić w komputerze. – Wyjąłem karton z sokiem pomarańczowym i wstrząsnąłem. – Co to za świństwo? Przestałaś kupować porządne produkty?

Usta Olivii, umalowane delikatną szminką w naturalnym odcieniu, się zacisnęły.

– Nie będziesz sprawdzał Dermota w żadnym komputerze, Frank.

– Nie mam wyjścia – odparłem pogodnym tonem. – Dobrze wiedzieć, czy nie gustuje w małych dzieciach, prawda?

– Słodki Panie Jezu! Frank, on nie jest...

– Może nie jest – zgodziłem się. – Prawdopodobnie nie jest. Ale czy można mieć pewność, Liv? Lepiej dmuchać na zimne. – Wypiłem łyk soku prosto z kartonu.

– Holly! – zawołała Olivia jeszcze raz, donośniej. – Pośpiesz się!

– Nie mogę znaleźć konika! – Tupot butów na górze.

– Oni biorą na cel samotne matki ze ślicznymi dzieciaczkami – powiedziałem Olivii. – Zdumiewające, że tak wielu z nich nie ma mocnego podbródka. Nie zauważyłaś?

– Otóż nie zauważyłam, Frank. Nie pozwolę, żebyś wykorzystywał służbowe stanowisko do zastraszania...

– Gdy znowu zobaczysz w telewizji pedofila, dobrze mu się przyjrzyj. Biała furgonetka i brak mocnego podbródka, zapewniam cię. Czym jeździ Dermo?

– Holly!!

Wypiłem jeszcze jeden duży haust soku, wytarłem rękawem otwór i wstawiłem karton do lodówki.

– Smakuje jak kocie siki. Jeśli będę płacił wyższe alimenty,

zacziesz kupować przyzwoity sok?

– Gdybyś płacił trzy razy więcej, a na to cię nie stać – wycodziła słodkim tonem, patrząc na zegarek – starczyłoby na jedno opakowanie w tygodniu. – Kocica pokazuje pazury, gdy zbyt długo ciągnie się ją za ogon.

Przed wzajemną napastliwością uratowała nas Holly, która wypadła ze swojego pokoju, wołając na całe gardło: „Tatotatotato!”. Zdążyłem dojść do schodów, gdy wystrzeliła jednym susem w powietrze niczym wirujący fajerwerk – mgiełka złocistych włosów i jakieś różowe błyski – i objęła mnie nogami w pasie, waląc po grzbiecie plecaczkiem i kędzierzawym konikiem o imieniu Klara, który pamiętał lepsze czasy.

– Cześć, małpiszoniaku – powiedziałem, całując ją w czubek głowy. Była lekka jak motylek. – Co robiłaś przez ten tydzień?

– Mnóstwo rzeczy. I nie jestem małpiszoniakiem – powiedziała surowo, nos w nos. – Co to jest małpiszoniak?

Holly ma dziewięć lat, drobną budowę, skłonność do siniaków, i w ogóle wdała się całkiem w rodzinę swojej matki – my, Mackeyowie, mamy krzepę, grubą skórę i gęste włosy, jesteśmy stworzeni do ciężkiej pracy w dublińskich warunkach pogodowych – z wyjątkiem oczu. Gdy zobaczyłem ją pierwszy raz, spojrzała na mnie moimi własnymi oczami, wielkimi, rozwartymi, intensywnie niebieskimi oczami, które poraziły mnie jak paralizator i wciąż niezmiennie sprawiają, że serce trzepocze mi w piersi. Olivia może zdrapać moje nazwisko jak naklejkę z nieaktualnym adresem, załadować lodówkę sokiem, którego nie lubię, i pozwolić, żeby ten pedofil Dermo zajął moją połowę łóżka, ale nie ma szans nic zrobić z tymi oczami.

– Taka zaczarowana małpka, która zna różne sztuczki i mieszka w zaczarowanym lesie – wyjaśniłem Holly, która obrzuciła mnie spojrzeniem mówiącym jednocześnie: „O rany” i „Ładnie wykombinowałeś”. – Jakie rzeczy?

Zsunęła się ze mnie i klapnęła na podłogę.

– Chloe, Sarah i ja zakładamy zespół. Narysowałam ci w szkole rysunek, bo wymyśliłyśmy taniec, no i mogę dostać białe botki? Sarah ułożyła piosenkę i... – Niemal wymieniliśmy z

Olivią rozbawione spojrzenia nad głową naszej córki, ale Olivia zaraz się zreflektowała i znowu popatrzyła na zegarek.

Na podjeździe natknęliśmy się na mojego przyjaciela Dermo, który – wiedziałem o tym na sto procent, bo odkręciłem mu tablicę rejestracyjną, gdy pierwszy raz zabrał Olivię na kolację – jest przykładnym, praworządnym człowiekiem, który nigdy nawet nie zaparkował swojego audi na podwójnej żółtej linii i który chcąc nie chcąc wygląda tak, jakby lada moment miało wydobyć się z niego potężne bekniecie. Powitał mnie porażającym skinieniem głowy połączonym z „dobry wieczór”. Przypuszczam, że facet ma przede mną stracha. I dorzucił: „Cześć, Holly”.

– Jak się do niego zwracasz? – zapytałem córkę, gdy zapiąłem ją w foteliku, a Olivia, ucieleśnienie Grace Kelly, na progu domu całowała Dermo w policzek.

Holly poprawiła grzywę Klary i wzruszyła ramionami.

– Mama chce, żebym go nazywała wujkiem.

– I tak mówisz?

– Nie. Głośno w ogóle go nie nazywam. A w myślach mówię na niego Brzydal.

Spojrzała w lusterko wsteczne, żeby sprawdzić, czy zamierzam ją wydać. Jej bródka już nabierała nieugiętego wyrazu.

– Pięknie. Zuch dziewczyna – powiedziałem, parszcząc śmiechem, i zakręciłem na hamulcu ręcznym, tak że Olivia i Brzydal aż się wzdrygnęli.

• • •

Od czasu gdy Olivia nabrała rozumu i wyrzuciła mnie z domu, mieszkam przy nabrzeżu, w ogromnym bloku wybudowanym w latach dziewięćdziesiątych przez Davida Lyncha, jak mogłoby się здаwać. Dywany są tu tak grube, że nigdy nie słyszałem żadnych kroków, za to nawet o czwartej rano wyczuwa się ze wszystkich stron szmery pięciuset umysłów: ludzie śnią, marzą, zamartwiają się, planują i kombinują. Wychowałem się w czynszówce, więc można by sądzić, że umiem żyć w brojlerni, ale tu wygląda to inaczej. Nie znam tych ludzi, nawet ich nie spotykam. Nie mam pojęcia, jak i kiedy wychodzą z domu i do

niego wracają. Z tego co wiem, w ogóle stąd nie wychodzą, tylko barykadują się w mieszkaniach i myślą. Nawet we śnie słyszę jednym uchem ten szmer, gotowy w razie potrzeby wyskoczyć z łóżka i bronić swojego terytorium.

Wystrój mojego prywatnego zakątka Twin Peaks cechują szyk i elegancja właściwe rozwodnikowi, co oznacza, że od czterech lat mieszkanie wygląda tak, jakby bagażówka jeszcze nie dojechała. Wyjątkiem jest pokój Holly, wypełniony wszelkimi pastelowymi pluszakami, jakie są znane człowiekowi. Gdy wreszcie zdołałem wyrwać Olivii jeden weekend w miesiącu i pojechaliśmy z Holly poszukać mebli, chciałem kupić jej wszystko, co wystawiono na trzech piętrach centrum handlowego. Jakąś częścią siebie wciąż byłem przekonany, że więcej jej nie zobaczę.

– Co będziemy robić jutro? – dopytywała się Holly, gdy zśliśmy wytłumionym korytarzem. Trzymała Klarę za nogę, wlokąc za sobą po dywanie. Gdy widziałem Holly ostatnim razem, wrzeszczała jak opętana na samą myśl, że ten konik zetknie się z podłogą. Wystarczy mgnienie oka i coś człowiekowi umyka.

– Dałem ci kiedyś latawca, pamiętasz? Jak odrobisz dziś lekcje i jeżeli nie będzie padać, zabiorę cię do Phoenix Park i pokażę ci, jak się puszcza latawca.

– Sarah też może iść?

– Zadzwonimy do jej mamy po kolacji. – Rodzice koleżanek Holly mnie uwielbiają. Nic nie daje większego poczucia odpowiedzialności niż wysłanie własnego dziecka do parku pod opieką detektywa.

– Na kolację pizza! Dobrze?

– Jasne. – Olivia zaopatruje się w żywność uzyskiwaną metodami naturalnymi, bogatą w błonnik i pozbawioną dodatków spożywczych, więc muszę czynić pewne kroki dla przeciwwagi, inaczej dziecko będzie dwa razy zdrowsze od wszystkich swoich rówieśników i poczuje się obco. – Czemu nie? – powiedziałem i ledwie otworzyłem drzwi, tknęło mnie, że nie zjemy dzisiaj pizzy.

Dioda poczty głosowej migotała jak szalona. Pięć nieodebranych połączeń. Z pracy dzwonią do mnie na komórkę, agenci w terenie i tajni informatorzy dzwonią na drugą komórkę, chłopaki wiedzą, że kiedyś tam zobaczymy się w pubie, a Olivia wysyła SMS-y, gdy już musi. Została rodzina, a konkretnie moja młodsza siostra Jackie, bo tylko z nią rozmawiałem przez ostatnie dwadzieścia lat. Pięć telefonów oznaczało prawdopodobnie, że ktoś z rodziców umiera.

– Masz – powiedziałem, dając córce laptopa. – Idź do swojego pokoju i podokuczaj koleżankom przez komunikator. Przyjdę do ciebie za kilka minut.

Holly, która dobrze wie, że dopóki nie skończy dwudziestu jeden lat, nie wolno jej łączyć się z internetem, gdy jest sama, spojrzała na mnie niedowierzająco.

– Jeżeli masz ochotę na papierosa, tato – rzekła w sposób bardzo dojrzały – możesz przecież wyjść na balkon. Wiem, że palisz.

– Ach tak? Skąd to przypuszczenie? – Przyłożyłem rękę do pleców Holly i poprowadziłem ją do jej pokoju. Innym razem byłbym poważnie zaintrygowany. Nigdy nie palę przy dziecku, a Olivia na pewno nic nie powiedziała. To my stworzyliśmy jej umysł, Olivia i ja; myśl, że znalazło się w nim coś, czego tam nie włożyliśmy, wciąż zwała mnie z nóg.

– Po prostu wiem. – Robiąc wyniosłą minę, rzuciła na łóżko Klarę i plecaczek. Z tego dziecka będzie jeszcze detektyw. – Nie powinieneś palić. Siostra Mary Therese mówi, że od palenia całe wnętrze robią się czarne.

– Siostra Mary Therese ma świętą rację. Mądra z niej kobieta. – Włączyłem laptopa i otworzyłem przeglądarkę. – Gotowe. Muszę do kogoś zadzwonić. Tylko nie kupuj brylantów na eBayu. – Dzwonisz do swojej dziewczyny?

Wyglądała na drobniutką i nazbyt roztrofną istotkę, gdy tak stała w białym pikowanym paltku do kolan, spod którego wystawały chude nogi, i patrzyła na mnie rozszerzonymi oczami, usiłując nie okazać strachu.

– Nie, kochanie. Nie mam dziewczyny.

– Przysięgasz?

– Przysięgam. I nie zamierzam sprawić sobie dziewczyny w najbliższym czasie. Może za kilka lat sama mi ją wybierzesz. Co ty na to?

– Chcę, żeby twoją dziewczyną była mama.

– Tak, wiem. – Musnąłem ręką jej włosy, miękkie jak płatki kwiatu. Zamknąłem za sobą drzwi jej pokoju i poszedłem do salonu, żeby się dowiedzieć, kto umarł.

Nagrała się Jackie, jak przypuszczałem, i gadała jak najęta. Zły znak: Jackie naciska hamulec, gdy ma dobre wiadomości („Nie masz pojęcia, co się wydarzyło. No, zgadnij”) i daje gaz do dechy, gdy dzieje się coś złego. Tym razem pędziła jak rajdowiec Formuły 1. „O Jezu, Francis, odbierz wreszcie ten cholerny telefon. Muszę z tobą porozmawiać, nie dzwonię dla zabawy, czy kiedykolwiek tak było? Tylko się nie wystrasz, nie chodzi o mamusię, dzięki Bogu, z nią wszystko w porządku, jest trochę wstrząśnięta, w końcu jak my wszyscy, z początku serce mało jej nie wyskoczyło, ale usiadła sobie, Carmel dała jej kieliszek brandy, i wszystko jest w porządku, prawda, mamo? Łaska boska, że była tu Carmel, zajrzała jak niemal co piątek po zakupach, zadzwoniła po mnie i Kevina, Shay mówił, żeby do ciebie nie dzwonić, bo i po co? Tak się wyraził, ale powiedziałam mu, żeby się ochrzanił, sprawiedliwość tego wymaga, no więc jeżeli jesteś w domu, to odbierz wreszcie ten telefon i odezwij się. Francis! Jak Boga kocham...”. Zabrakło miejsca na nagranie i rozległo się piknięcie.

Carmel, Kevin i Shay, o rety. Wyglądało na to, że cała rodzina zwała się do rodziców. Mój ojciec, na pewno on.

– Tato! – krzyknęła Holly ze swojego pokoju. – Ile papierosów palisz dziennie?

Pani z poczty głosowej kazała mi nacisnąć guziki; wykonałem polecenia.

- Kto mówi, że palę?
- Muszę wiedzieć! Dwadzieścia?
- Na początek.
- Możliwe.

Znowu Jackie: „Cholerne sekretarki, jeszcze nie skończyłam! Przyjedź tu, tak powinnam powiedzieć od razu, nie chodzi też o ojca, z nim jak zwykle, nikt nie umarł, nie jest ranny ani nic takiego, z każdym wszystko w porządku. Kevin jest trochę podenerwowany, ale według mnie dlatego, że się martwi, jak to przyjmiesz, on cię bardzo lubi, wiesz, wciąż cię lubi. Może to nic takiego, Francis, tylko zachowaj spokój, dobra? Może jakiś żart albo wygłupy, tak myśleliśmy na początku, choć moim zdaniem to gówniany żart, przepraszam za wyrażenie...”.

– Tato! Ile czasu poświęcasz na ćwiczenia fizyczne?

Co się dzieje, do diabła...?

– Jak nikt nie widzi, ćwiczę balet.

– Nieee, tato, mów poważnie. Ile czasu?

– Za mało.

„...no i oczywiście nikt z nas nie ma zielonego pojęcia, co z tym zrobić, więc zadzwoń do mnie, gdy tylko to odsłuchasz. Proszę cię, Francis. Cały czas trzymam w ręku komórkę”.

Coś zabrzęczało, piknęło, odezwała się babeczka z poczty głosowej. W tym momencie już powinienem być się domyślić, a przynajmniej mieć ogólne wyobrażenie.

– Tato? Ile jesz warzyw i owoców?

– Tony.

– Nieprawda!

– Trochę jem.

Następne trzy wiadomości mniej więcej się powtarzały, w półgodzinnych odstępach. Ostatnim razem głos Jackie przybrał taki ton, jaki słyszą tylko małe psy.

– Tato?

– Za chwilę, skarbie.

Stałem z komórką na balkonie z widokiem na ciemną rzekę w dole, rozmazane pomarańczowe światła oraz płataninę zakorkowanych ulic i zadzwoniłem do Jackie. Odpowiedziała po pierwszym sygnale.

– Francis? Jezusie, Maryjo, Józefie święty, odchodziłam od zmysłów. Gdzieś ty był?

Zwolniła do jakichś osiemdziesięciu mil na godzinę.

– Pojechałem po Holly. Co się dzieje, do diabła?

Hałas w tle. Nawet po tylu latach natychmiast rozpoznałem porywczą zgryźliwość w głosie Shaya. Na dźwięk strzępu słowa wypowiedzianego przez matkę ścisnęło mnie w gardle.

– O Boże... Francis, usiądź, dobrze? I weź sobie kieliszek brandy czy coś.

– Jackie, jeżeli nie powiesz mi, co się stało, przysięgam, że zaraz przyjadę i cię uduszę.

– Poczekaj chwilę... – Trzask zamykanych drzwi. – Już – odezwała się Jackie, gdy nagle zrobiło się cicho. – No więc... pamiętasz, jakiś czas temu opowiadałam ci o człowieku, który kupił trzy domy u wylotu naszej ulicy? Żeby przerobić na mieszkania.

– Aha.

– W końcu zrezygnował z budowy mieszkań. Teraz wszyscy martwią się cenami nieruchomości. Poczekaj i zobaczysz, co będzie. Ściągnął robotników, żeby usunęli kominki, gzymsy i różne takie, na sprzedaż. Są ludzie, którzy dobrze zapłacą za te rzeczy, wariaci. No i dziś zaczęli, w domu na rogu. Tej ruinie, pamiętasz?

– Pod szesnastym.

– Zgadza się. Zabierali kominki i znaleźli w kominie walizkę. Pełna napięcia cisza. Narkotyki? Broń? Forsa? Jimmy Hoffa*?

– Kurna, Jackie, i co?

– To jest walizka Rosie Daly.

Hałas uliczny zanikł w sekundę. Pomarańczowa łuna na niebie przypominała drapieżny i żarłoczny pożar lasu, oślepiający, rozszalały.

– Nie, nie jej – odparłem. – Nie wiem, kto ci nagadał takich głupot.

– Francis, tylko spokojnie...

Słyszając ociekający troską i współczuciem głos, miałem ochotę jej przyłożyć.

– Wpuszczasz mnie w maliny. Razem z matką wpadłyście w

* Jimmy Hoffa, przywódca amerykańskich związków zawodowych. Zniknął bez śladu w 1975 r.

histerię z powodu jakichś dupereli i próbujesz mnie w to wkręcić...

– Posłuchaj, wiem, że ty...

– Albo podstępem tam ściągnąć. Tak, Jackie? Szykujesz wielkie rodzinne pojednanie? Ostrzegam cię, kurwa, to nie jest telenowela, ta zabawa źle się skończy.

– Ty debilu – warknęła Jackie. – Weź się w garść. Za kogo mnie masz? W tej walizce jest koszula, fioletowa w tureckie wzory, Carmel ją rozpoznała...

Widziałem Rosie w tej koszuli setki razy, dotykałem palcami guzików.

– Jasne, każda dziewczyna w mieście nosiła taką koszulę w latach osiemdziesiątych. Carmel rozpoznałaby Elvisa na Grafton Street, żeby puścić plotkę. Myślałem, że masz więcej rozumu, ale najwyraźniej...

– ...i jest tam świadectwo urodzenia na nazwisko Rose Bernadette Daly.

Po tym dalsza wymiana zdań w tym stylu była zbędna. Znalazłem fajki, oparłem łokcie na balustradzie i wziąłem najdłuższego sztachy w swoim życiu.

– Przepraszam, że naskoczyłam na ciebie – powiedziała Jackie, już łagodniej. – Francis?

– Jestem.

– W porządku?

– Tak. Słuchaj, czy państwo Daly o tym wiedzą?

– Nie ma ich w domu. Nora przeprowadziła się do Blanchardstown, jak mi się zdaje, parę lat temu. W piątki wieczorem państwo Daly jeżdżą do niej zobaczyć się z maluchem. Mama mówi, że chyba ma gdzieś telefon, ale...

– Dzwoniłaś na policję?

– Tylko do ciebie, wiadomo.

– Czy jeszcze ktoś o tym wie?

– Robotnicy, nikt więcej. Dwóch młodych Polaków. Po pracy poszli naprzeciwko pod piętnasty i spytali, komu mają oddać walizkę, ale tam mieszkają teraz studenci i odesłali ich do naszych rodziców.

– A matka nie rozpowiedziała wszystkim sąsiadom? Na

pewno?

– Faithful Place już nie jest taka, jak ją pamiętasz. Dzisiaj połowa sąsiadów to studenci i japiszony, których nawet nie znamy z nazwiska. Cullenowie wciąż mieszkają, Nolanowie też, no i zostało jeszcze paru Hearne'ów, ale nie chciała im nic mówić, dopóki nie powie Dalym. To by było nie w porządku.

– Dobrze. Gdzie jest ta walizka?

– W salonie. Może ci robotnicy nie powinni jej zabierać? Ale przecież musieli wykonać swoją robotę...

– Świetnie. Nie dotykajcie walizki, chyba że to będzie konieczne. Postaram się przyjechać jak najszybciej.

Zapadła cisza. Po chwili:

– Francis. Nie chcę krakać, niech Bóg ma nas w opiece, ale czy to nie znaczy, że Rosie...

– Jeszcze nic nie wiemy – powiedziałem. – Nie ruszajcie się z domu, z nikim nie rozmawiajcie i czekajcie na mnie.

Rozłączyłem się i zerknąłem przez ramię w głąb mieszkania. Drzwi do pokoju Holly nadal były zamknięte. Dopaliłem papierosa kolejnym gigantycznym sztachem, wyrzuciłem peta za barierkę, zapaliłem następnego papierosa i zadzwoniłem do Olivii.

Nie witając się, powiedziała od razu:

– Nie, Frank. Nie tym razem. W żadnym wypadku.

– Nie mam wyjścia, Liv.

– Prosiłeś o każdy weekend. Błagałeś. Jeżeli ci nie zależało...

– Wciąż mi zależy. Sytuacja jest wyjątkowa.

– Jak zwykle. Wydział przetrwa bez ciebie dwa dni. Nie jesteś niezastąpiony, choć tak ci się może wydaje.

Każdy w promieniu kilku kroków uznałby, że to luźna pogawędka, ale Olivia była wściekła. Brzęk sztućców, salwy śmiechu rozbawionych gości, coś jakby, Boże ucho, plusk fontanny.

– Tym razem to nie jest sprawa służbowa, lecz rodzinna.

– Naturalnie. Czy ma może jakiś związek z faktem, że jestem na czwartej randce z Dermotem?

– Posłuchaj, Liv, z przyjemnością dołożyłbym starań, żeby zepsuć ci czwartą randkę z Dermotem, ale za nic nie poświęciłbym

czasu spędzonego z Holly. Na tyle mnie przecież znasz.

Chwila milczenia niepozbawiona podejrzeń.

– Co to za wyjątkowa sprawa rodzinna?

– Jeszcze nie wiem. Dzwoniła Jackie, w hysterii, od rodziców, ale nie znam szczegółów. Muszę tam jak najszybciej pojechać.

Znowu cisza. W końcu Olivia westchnęła ze znużeniem i powiedziała:

– Dobrze. Jesteśmy w Coterie. Przywieź ją.

Coterie ma szefa kuchni, który występuje w telewizji, i jest dopieszczana w wielu weekendowych dodatkach do gazet. Najwyższy czas zrzucić na nią bombę zapalającą.

– Dzięki, Olivio. Mówię szczerze. Przyjadę po nią wieczorem, jeśli dam radę, albo jutro rano. Zadzwoń do ciebie.

– Przyjedź – powiedziała Olivia. – Oczywiście, jeśli dasz radę.

– Rozłączyła się, a ja wyrzuciłem papierosa i wszedłem do mieszkania, żeby wkurzyć kolejną kobietę w swoim życiu.

Holly siedziała ze skrzyżowanymi nogami na łóżku, z komputerem na kolanach i zaniepokojoną miną.

– Kochanie, mamy kłopot – zacząłem.

Wskazała laptopa, mówiąc:

– Spójrz, tato.

Duże purpurowe litery otoczone migającą grafiką tworzyły na ekranie napis: UMRZESZ W WIEKU 52 LAT. Dzieciak był naprawdę przybity. Usiadłem na łóżku, przyciągnąłem do siebie Holly i przeniosłem komputer na swoje kolana.

– Co to takiego?

– Sarah znalazła tę ankietę w sieci. Wypełniłam ją za ciebie i wyszedł taki wynik. A ty masz czterdzieści jeden lat!

Panie Jezu, nie teraz.

– Ptaszynko, do internetu każdy może wrzucić cokolwiek i to wcale nie musi być prawda.

– Tak jest napisane! Wszystko wyliczyli!

Olivia będzie zachwycona, gdy oddam jej szlochające dziecko.

– Coś ci pokażę – powiedziałem. Obejmując Holly ręką, usunąłem swój wyrok śmierci, otworzyłem Worda i napisałem: JESTEŚ KOSMITKĄ. CZYTASZ TO NA PLANECIE

BONGO. – No i jak? To prawda?

Holly zaśmiała się płacząco.

– Pewnie że nie.

Zmieniłem kolor liter na purpurowy i czcionkę na bardziej fantazyjną.

– A teraz?

Pokręciła głową.

– A gdybym kazał komputerowi zadać ci masę pytań, zanim to powie? Wtedy byłaby to prawda?

Już sądziłem, że do niej dotarło, ale raptem jej wąskie ramiona zeszytniały.

– Mówiłeś o kłopotcie.

– No właśnie. Będziemy musieli wprowadzić małą zmianę do naszych planów.

– Mam wracać do mamy – powiedziała Holly, zwracając się do laptopa. – Zgadza się?

– Ano tak, skarbie. Jest mi naprawdę bardzo, bardzo przykro. Przyjadę po ciebie, gdy tylko będę mógł.

– Znowu potrzebują cię w pracy?

To „znowu” było gorsze od wszystkich ochrzanów Olivii.

– Nie, to nie ma związku z pracą – odparłem, przechylając się na bok, żeby widzieć buzię Holly. – Praca nie zajac, mam rację? – To wywołało słaby uśmiech. – Twoja ciocia Jackie, wiesz która, ma duży kłopot i chce, żebym jej natychmiast pomógł.

– A nie mogę pójść z tobą?

Zarówno Jackie, jak i Olivia napomykały od czasu do czasu, że Holly powinna poznać rodzinę swojego taty. Nawet gdyby nie ta ponura sprawa z walizką, po moim trupie Holly zajrzy do tego kipiącego szaleństwem kotła, jakim są Mackeyowie w swoim najlepszym wydaniu.

– Nie tym razem. Gdy wszystko załatwię, zabierzemy ciocię Jackie gdzieś na lody i poprawimy sobie nastrój, dobrze?

– Dobrze – zgodziła się Holly, wdychając ze znużeniem zupełnie jak Olivia. – Będzie fajnie. – Zeszła z moich kolan i zaczęła wkładać swoje rzeczy z powrotem do plecaczka.

• • •

Po drodze Holly cały czas mówiła coś do Klary stłumionym głosem, tak cicho, że nic nie słyszałem. Stojąc na czerwonym świetle, za każdym razem spoglądałem na nią w lusterku wstecznym i przysięgałem sobie, że jej to wynagrodzę: zdobędę numer telefonu Dalych, zostawię tę cholerną walizkę na ich progu i zawiozę Holly na El Rancho Lyncho, zanim przyjdzie pora kłaść się spać. Wiedziałem jednak, że tak się nie stanie. Ta ulica i ta walizka długo czekały na mój powrót. Skoro już mnie dopadły, nie popuszczą i to, co mnie czeka, nie skończy się tego wieczoru.

W liście trzymała się jak najdalej od dziewczynskiego sentymentalizmu; to była duża zaleta Rosie, trzeba przyznać. „Wiem, że to będzie szok, bardzo mi przykro, ale daję słowo, że nie kręciłam umyślnie. Nigdy nie chciałam tego robić. Dobrze się nad wszystkim zastanowiłam i wiem, że jedynie w ten sposób mam szansę przeżyć życie, jak chcę. Żałuję tylko, że sprawiam przykrość, niepokój i zawód. Chciałabym usłyszeć życzenia pomyślności w moim nowym życiu w Anglii!!! Ale jeżeli nie, to też zrozumieć. Przysięgam, że na pewno wrócę. Tymczasem ściskam bardzo, bardzo mocno, Rosie”.

Po tym, jak zostawiła ten list na podłodze w domu pod szesnastym, w pokoju, gdzie pocałowaliśmy się pierwszy raz, i zanim ruszyła, żeby przerzucić walizkę przez mur i dać stąd dyla, coś się wydarzyło.